Parafianie stawiają nowe i upiększają stare kościoły,
ostrowscy aktorzy podbijają serca mieszkańców Wąsewa,
uwaga na prowokatora, leczenie brudem

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Marcin Chodowaniec, „Cudowny Marcinek", znachor z Hołubli,
o którym wspomina w swym artykule dr Adam Jarosiński.
Źródło: *„Doktor" Marcinek*, na portalu Hołubla – tam, gdzie jest nasz dom *hołubla.pl*.

Korespondent z dekanatu ostrowskiego opisuje z zachwytem nowo pobudowany kościół w Nurze, a nieco mniej miejsca poświęca już prawie ukończonemu kościołowi w Czyżewie. Wspomina także o restauracji świątyń w Jelonkach, Broku, Brańszczyku i Ostrowi.

Hucznymi oklaskami oraz znacznym wsparciem finansowym dla miejscowego Koła Polskiej Macierzy Szkolnej, zakończył się występ amatorskiej trupy teatralnej z Ostrowi, której prezesuje pan Niewęgłowski.

Ostrzegamy przed prowokatorem włóczącym się po nadbużańskich wioskach. Rozpoznać osobnika nietrudno: ma brodę, długie włosy, nosi się po włościańsku, nazwisko ma „jednego ptaka" i spragniony jest zakazanej lektury. Biega żwawo, więc potraktować go w sposób, na jaki zasługuje… nadzwyczaj trudna to sprawa.

Zainteresowanych zaanonsowaną w tytule nowatorską metodą leczenia informujemy, że nie chodzi o byle jaki brud, ale o zeskrobany z siedmiu progów. Ostrzegamy zarazem, że zebrany z progów sześciu lub ośmiu nijak się do poprawy stanu zdrowia nie przyczyni. Zatem tak brak zaangażowania, jak i nadgorliwość nie przyniosą oczekiwanego efektu. Wiedzę o różnych cudownych medykamentach, a przede wszystkim o preferowanych przez lud nadbużański procedurach leczenia przekazuje dr Adam Jarosiński[1].

Pan Sebastian, nasz stały czytelnik, porusza w swym liście tematykę, zdawałoby się przebrzmiałą, ale ostatnimi czasy na nowo rozgrzewającą media, a mianowicie podziałów klasowych społeczeństwa. Nasz korespondent nie ma żadnych ambicji tyczących awansu klasowego swej osoby, zatem prosi, że jeśli zdarzy się ktoś zafiksowany na punkcie szufladkowania, to niech go zaliczy do najniższej z niskich klas ludowych, choć sam siebie uważa za jednostkę wybitnie pozaklasową.

Kilka lat temu pojawili się w nadbużańskiej miejscowości pana Sebastiana emisariusze warszawskich klas wyższych, a przynajmniej klas średnio-wyższych. Zachwyceni sielskim krajobrazem oraz bliskością drogi ekspresowej postanowili tam zamieszkać.

Pobudowali gigantyczne domy, wyposażone we wszystko, co współczesnemu człowiekowi niezbędne, czyli własne sauny, siłownie, baseny wewnętrzne, a także zewnętrzne. Rzecz jasna, pan Sebastian, jako człowiek myślący zdroworozsądkowo, patrząc na to wszystko, drapał się w głowę, pytając sam siebie – Po co to wszystko?

[1] Więcej o leczniczych zwyczajach nadbużańskiego ludu TUTAJ.

Początkowo, wszystkie te utensylia były przez bogaczy, a zwłaszcza ich gości z radością i z dość dużą częstotliwością używane, ale po mniej więcej trzech latach najwidoczniej spowszedniały i zostały porzucone. Pan Sebastian dostrzegł ostatnio w jednym z zewnętrznych basenów martwą wiewiórkę pływającą pośród wieńca opadłych liści. Z sąsiedniej wielmożnej posesji dochodziły często odgłosy kłótni, a pan Sebastian jako człowiek nielubiący wtykać nos w cudze sprawy, postanowił pewnego dnia podejść bliżej ogrodzenia, by dyskretnie przysłuchać się wymianie opinii. Pani domu wymyślała małżonkowi, że musiał być idiotą, decydując się na basen w domu, bo to kompletna, urządzona na pokaz, pochłaniająca wszystkie pieniądze głupota, a w dodatku szanowną małżonkę boli już szyja od ciągłego obracania głowy, by baczyć, aby w nieszczęsnym akwenie nie potopiły się dzieci, wliczając w to dwa psy i kosztownej rasy kota.

Dziwactw bogaczy jest znacznie więcej. Dwóch z nich dysponuje przyczepami kampingowymi, a kolejny silnikowym cygańskim wozem, który nazywa kamperem. To, że posiadają takie ekstrawaganckie środki transportu, pana Sebastiana specjalnie nie dziwi, ale nie przestaje zachodzić w głowę – Po co ich używają?

Mają wielkie, komfortowe domy, wyposażone we wszystko, o czym nastawiony konsumpcyjnie osobnik może zamarzyć: gaz, elektryczność, kurki z bieżącą, tak ciepłą, jak i zimną wodą, kuchnie wielopalnikowe, mikrofalówki, lodówki, pralki i suszarki, kilka telewizorów, Internaty bezprzewodowe i stacjonarne, klimatyzacje, komputery oraz w już wspomniane sauny, jacuzzi, baseny, seks tradycyjny i wyuzdany oraz siłownie. Pyta się zatem pan Sebastian, po co, mając to wszystko, pakują się latem do metalowych puszek, wloką się godzinami, a nawet dobami w korkach, by później spędzać czas w otoczeniu setek identycznych kontenerów? Pewnego dnia miał pan Sebastian okazję, by zwiedzić takie dziwo na kołach. Redakcja nie może w to uwierzyć – choć z drugiej strony, to nie mamy powodów, by czytelnikowi nie ufać – ale toaleta w tych pojazdach, działa na zasadzie nie spłukiwania, lecz posypywania „urobku" trocinami. Proszę sobie wyobrazić, że ludzie, którzy mają w domu po kilka łazienek, a każdą urządzili większym kosztem, niż pan Sebastian swój dom, znajdują dziką frajdę w wypróżnianiu się do wiadra! Pan Sebastian nie wyklucza, że może być to rodzaj zboczenia, ale bardziej jest prawdopodobne, że głowy tych rodzin to po prostu sadyści. Jak bowiem trzeba nienawidzić swych najbliższych, by zgotować im taki los?!

Pan Sebastian dziwi się zresztą, po co ktokolwiek wyjeżdża z domu, mając telewizor i komputer. Przecież dzięki tym urządzeniom można znaleźć się momentalnie w dowolnym zakątku świata. Zamiast np. lecieć do Barcelony i włóczyć się po *Las Ramblas*, lepiej wszystko obejrzeć w Internatach, bo na cóż tłoczyć się, oblewać potem i wystawiać swój portfel na łup kieszonkowców? Gdy komuś brak hiszpańskich wrażeń smakowych, to może kupić sobie gotową *paellę* w dyskoncie i odgrzać ją w piekarniku, a nie wydawać przeciętną tygodniówkę na porcję katalońskich frytek.

Podróżom nie można odmówić pewnego sensu, gdy ktoś ma mały telewizor i skazany jest na bezpłatne MUX-y. Pan Sebastian dysponuje jednak telewizorem 43-calowym i pakietem telewizyjnym za 72 złote. Po co ktoś taki miałby się ruszać z domu? Ba, a co dopiero mówić o bajecznie zamożnych, nowych ziomkach naszego czytelnika, którzy posiadają telewizory o przekątnej przynajmniej dwa razy większej od odbiornika pana Sebastiana, a w dodatku wykupili najdroższe z możliwych pakietów, włącznie z kompletem kanałów dla dorosłych. W jakim zatem celu szukają wrażeń poza domem?

Pewnym wyjaśnieniem może być kolejna „przypadkowo" zasłyszana kłótnia krezusów. Gdzieś w kwietniu, jedna z małżonek wrzeszczała, że ma dosyć Helu, Karpacza, Włoch, Grecji i Chorwacji. Koleżanki latają po Hawajach, Malediwach, Seszelach, a oni w kółko wybierają te same, bliskie, typowe dla „motłochu" destynacje. Zanosiła się spazmami i skarżyła, że początkowo uchodziło to za modną ekscentryczność, ale teraz wszyscy mają ich za totalne bezguścia, za bankrutów, nędzarzy wybierających „zadupia" z racji finansowej upadłości. Odkrył zatem pan Sebastian, że dziwactwa dolarowych multimilionerów, wliczając w to wypróżnianie się do wiadra, to efekt snobizmu.

Wzburzona pani domu została najwidoczniej obdarzona darem przekonywania, skoro tamtego lata przyczepy i kamper kurzyły się na podjazdach, a jaśnie państwo polecieli za morza.

Pan Sebastian uważa takie wojaże za nonsensowne. Dzieci i żona namówiły go kiedyś, a i sam dał się skusić folderom, by polecieć daleko na południe, do zupełnie innej strefy czasowej. Zegar w głowie pana Sebastiana rozstroił się zupełnie i w związku z powyższym przez tydzień nie zmrużył nasz czytelnik oka. Było tak szatańsko gorąco, że przez cały pobyt starał się nie opuszczać klimatyzowanego bungalowu. Gdyby nawet lepiej znosił upały, to po spożyciu pierwszej egzotycznej potrawy, dostał tak wściekłego rozstroju żołądka, że musiał stale przebywać w bezpośredniej bliskości toalety. Żona początkowo wszystko nieźle znosiła i śmiała się z nieszczęsnego małżonka, ale ten się śmieje, kto robi to jako ostatni. Trzeciego dnia dostała udaru słonecznego, stopa napuchła jej niczym balon skutkiem nastąpienia na koralowca, poparzyły ją meduzy, a gdy resztkami sił dotarła to drzwi bungalowu, to spadł na nią monstrualnej wielkości pająk i ukąsił w ramię. Skończyło się wizytą w szpitalu i serią bolesnych zastrzyków.

Ludzie! Po co latacie za morza! Nie wierzcie folderom i zamieszczonym w nich fotografiom, ukazującym palmy, lazur morza, nieskazitelnie biały piasek, uśmiechniętych, szczęśliwych ludzi! To kłamstwo, propaganda, a faktycznie czeka tam na Was piekło! Poszukajcie w Internatach folderów przeróżnych funduszy inwestycyjnych, które zbankrutowały po kilku latach, oczyszczając z oszczędności tłumy nieszczęsnych naiwniaków. Na okładce każdego znajdziecie identyczne fotografie, ukazujące trzymającą się za ręce, piękną, ufnie patrzącą w przyszłość rodzinę, rolę zaś palm odgrywają pnące się w górę wykresy prognozowanych zysków.

Zresztą, nawet gdy ktoś lubi się snobować, to dalekie podróże nie robią obecnie na nikim wrażenia. Dzięki tanim liniom lotniczym można – zwłaszcza po sezonie – dolecieć za niewielkie pieniądze w każdy prawie zakątek świata. W dodatku wszędzie jest prawie identycznie, bo sieci hotelowe dbają, aby ośrodek wypoczynkowy pod Bydgoszczą czy na Grenlandii oferował niemal to samo, co ten na Karaibach. „Byłem w Egipcie" – brzmi obecnie, niczym niegdyś wyznanie, że ktoś spędził lato nad Bugiem, Liwcem czy Świdrem. Więc po cóż tarabanić się daleko, spędzać tydzień w toalecie, być okradzionym przez kieszonkowca i pokąsanym przez pająka? Już lepiej nie silić się na oryginalność, ale spędzić wakacje nad wspomnianymi rzekami, najlepiej zaś i najbezpieczniej we własnym domu przed ekranem telewizora i monitorem komputera.

[„Przegląd Katolicki”, nr 6 z 6 lutego 1873 r.]

Z DEKANATU OSTROWSKIEGO
[fragment]

Podając w roku 1873 korespondencję, zamieszczoną w nr 37 Przeglądu Katolickiego, o odbytej benedykcji nowo zbudowanego kościoła w Nurze, zrobiłem nadzieję, iż w niedługim czasie dowiemy się o nim coś więcej. Pominąć milczeniem to, co więcej zrobiono, byłoby to może niejednego z ciekawych końca, tak proboszcza, jak i gorliwych o dom Boży parafian nurskich zostawić w owym podejrzeniu: „caepit aedificare sed non potuit consummare”[2].

Nie jest tak. Kiedy w onczas widziałem tylko ściany pobielone i jeden ołtarz, obecny w roku bieżącym na odpuście, w dzień Szkaplerza Matki Boskiej, zastałem wszystko, co kościół przyzdabia i wygodnym czyni, dowiedziawszy się, że jeszcze w roku zeszłym, stanął on w tym komplecie okazałości wewnątrz i zewnątrz, jaką rzadko, gdzie po parafiach wiejskich odznacza się dom Boży. Powszechnie też tu w całej okolicy podobał się on wszystkim i byłby może okazalszym, gdyby wieża będąca zarazem dzwonnicą, nie z tyłu, ale z frontu zajęła była miejsce.

Świątynię tę, długą łokci[3] 70, szeroką 26, otacza mur cmentarzowy z kamienia, układany na wapno, z bramą na froncie, kratowaną, żelazną i takimiż dwoma przy niej bocznymi furtkami. Front kościoła upiększają dwie we framugach umieszczone rzeźby, zręcznie ze starych poprawione, imitujące wyrobienie z białego marmuru, śś. Wojciecha i Stanisława. Ściany wewnątrz wyżej człowieka pomalowane olejno. W środku nawy równo z posadzką umieszczony kamień z napisem rżniętym: „Tu leży ks. Kącki, proboszcz nurski, prosi o westchnienie do Boga”, pod którym jest przygotowany grób.

Prawie wszystko w nim nowe. Ze starych przedmiotów pozostały: organ podreperowany, jeszcze niezły, ale i ten ma powoli ustąpić miejsca innemu, odpowiedniemu do tego kościoła, według zapewnienia proboszcza; dwa dzwony, duże, dobre i dwa starożytne, pięciuset lat sięgające obrazy. Jeden Matki Boskiej Szkaplerznej, umieszczony stale w wielkim ołtarzu, zasuwany obrazem św. Jana Ew., pędzla pana Polkowskiego, drugi św. Anny, wielkiego formatu, zawieszony na ścianie bocznej, niezłego pędzla.

Dwa boczne ołtarze, równie jak ołtarz wielki, gustownie i wygodnie do odprawiania Mszy św. całkiem nowo odrobione, miłe dla oka czynią wejrzenie. Po lewej stronie nawy, zwracając się ku ołtarzowi wielkiemu, przed prezbiterium, ołtarz ze stałym, dawniejszym także obrazem Chrystusa miłosiernego, zasuwanym obrazem św. Antoniego z Padwy, pędzla pana Laskowskiego; po prawej z obrazem Matki Boskiej w postawie stojącej, piastującej na ręku boskie swe Dziecię, pędzla pana Gersona. Przybył trzeci nowy dzwon i dwadzieścia nowych, pięknych ornatów z dobrowolnych ofiar. Niedawno także założony nowy cmentarz grzebalny, w tym roku otoczony murem z kamienia zwyczajnego na wapno.

[2] Zaczął budować, ale skończyć nie mógł [przyp. aut. opracowania].
[3] Chodzi zapewne o łokieć nowopolski, równy 57,6 cm [przyp. aut. opracowania].

Koszta tego wszystkiego 18 tysięcy rs [rubli w srebrze]. Czas w jakim zebrano całą tę sumę i dokonano całego dzieła, sześć lat obejmuje.

Parafia z 4000 dusz składająca się, w XII wieku ma swój początek. Teraz pożądana jest tylko konsekracja tego przybytku Bożego i parafianie nurscy wraz ze swoim pasterzem zostają w nadziei, iż JW. ksiądz Glintowt, biskup sufragan płocki zaspokoi to ich pragnienie. Bóg wam zapłać wszyscy dobrodzieje kościoła w Nurze. Bodajby za waszym przykładem idąc, parafianie czyżewscy mogli rychło przyjść do końca ze swym kościołem w Czyżewie. Zewnątrz niewiele brakuje, ale wewnątrz stosunkowa ornamentacja nieprędko pewnie odpowie zewnętrznej strukturze i zaledwie otwarcia w nim nabożeństwa spodziewamy się na rok przyszły. Kościół wspaniały zewnętrznie, w guście katedry płockiej, dwie wieże na froncie dodają mu powagi kościelnej.

Rok 1916. Przed kościołem pw. św. Jana Apostoła w Nurze.
Źródło: Fotopolska *fotopolska.eu*.

Nie zasypiają i w całym naszym dekanacie kapłani, jedni restaurują, drudzy upiększają świątynie. Niedawno także odnowił kościół i gustownie ozdobił wewnątrz ks. Józef Korolec w Jelonkach, ks. Antoni Stawirej w Broku, ks. Konstatnty Rejchel w Zuzeli. Od dawna bardzo ładny, murowany w roku 1833 kościół w Brańszczyku, dziś świeżo otoczony żelaznymi sztachetami, ma dziewięć czysto utrzymywanych ołtarzy i ciągle mu coś przybywa. Od lat blisko 40 przewodniczy mu ks. kan. Ostrzykowski, który rzeczywiście szczególnie pokochał ozdobę domu Bożego, każdy to przyzna, kiedy do kościoła zajrzy. Wszystko, z małym wyjątkiem, niektórych świeżych przedmiotów, własnym prawie funduszem poczynił i niemały tam przez czas swego pobytu włożył kapitał. Obecnie w mieście powiatowym Ostrowiu, z pierwszym prawie dniem swego tu nastania, nowy dziekan, ks. Adam Jarnutowski, rozpoczął restaurację kościoła w pierwszych dniach lipca br., dach pokrył blachą i wewnątrz odnawia. Jest jeszcze kilka kościołów dawno potrzebujących restauracji, ale i o tych już pomyślano, bo jedni drugim są przykładem i zachętą, a mieliśmy też niedawną i osobną po temu sposobność.

[„Naród : pismo codzienne”, nr 37 z 14 lutego 1907 r.]

Przedstawienie amatorskie w Wąsewie Łomżyńskim. Dnia 10 bm. amatorzy kółka amatorskiego z Ostrowia, odegrali w Wąsewie na zasilenie funduszów wąsewskiego Koła M. S. [Macierzy Szkolnej], jednoaktówkę „Młynarz i Kominiarz” i dwuaktówkę „Majster i Czeladnik”. Na zakończenie zaś ciż sami amatorzy przetańczyli krakowiaka w strojach narodowych. Amatorzy cieszyli się nadspodziewanym powodzeniem. Hucznymi oklaskami zgromadzona licznie publiczność, składająca się przeważnie z okolicznych gospodarzy, nagrodziła wykonawców krakowiaka. W antraktach i podczas przedstawienia przygrywali członkowie orkiestry ostrowskiej Straży Ogniowej pod dyrekcją p. Kaczyńskiego.

Kasa wąsewskiego Koła M. S. otrzymała z przedstawienia zasiłek w sumie kilkudziesięciu rubli. Sprowadzeniem amatorów i urządzeniem sali teatralnej przy udziale p. Niewęgłowskiego, prezesa kółka amatorskiego z Ostrowia, zajął się p. Zimnoch, wiceprezes wąsewskiego Koła P. M. S., nader czynny członek tej instytucji, który także ze szczerą polską gościnnością podejmował u siebie amatorów.

Za urządzenie tak miłej rozrywki okolicznym wioskom, a zarazem korzystnej dla Koła W. S. M. S., należą się p. Zimnochowi słowa prawdziwego uznania.

Lech

Rok 1927. Odział ułanów przed kościołem pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Wąsewie.
Źródło: Fotopolska *fotopolska.eu*.

[„Naród : pismo codzienne”, nr 54 z 6 marca 1907 r.]

Znad Buga. Przed 16 laty przywędrował tu z Galicji jegomość z brodą i długimi włosami, i osiedlił się w jednym z miast nad Bugiem. Nazwisko nosi jednego ptaka. Od czasu ukazu o tolerancji religijnej jegomość ów zrobił się nadzwyczaj gorliwym, a że obdarzony jest dobrym węchem, przebiera się więc po włościańsku i chodzi po wsiach, nie omijając dworów. Prosi o książki i gazety, lecz zakazane, gdyż do legalnych nie ma pociągu.

Niedawno zjawił się wieczorem do jednego z majątków nad Bugiem, do p. W., gdzie zastał kilkoro ludzi wraz z p. W śpiewających „Gorzkie żale”. Jegomość opuścił w tej chwili mieszkanie i wniósł skargę do władzy, że p. W. urządza zebrania polityczne, za co skazano go na 70 rubli grzywny.

Kilka dni temu pan ten przywędrował przebrany po włościańsku i prosił p. W. o gazety zakazane, lecz go tu zdemaskowano i byłby należyte otrzymał święcenie, lecz brodaty jegomość posiadał dobry charakter w nogach, więc czmychnął.

Kaz. Jak.

[„Gazeta Podlaska”, nr 17 z 4 maja 1924 r.]

Mieszkaniec tutejszy chętnie się leczy i dba o zdrowie swoich najbliższych, nie kieruje się jednak w tym wypadku sentymentem, a zazwyczaj ma na względzie realną stronę życia.

Mąż zabiega o zdrowie żony, która jest piastunką dzieci i pomaga w gospodarstwie, żona o męża jako pracownika i głowę rodziny, a oboje o dzieci, z których rychło spodziewają się mieć pomoc na roli. O starców już nieużytecznych w gospodarstwie, dbają mało, a jeżeli coś w tym kierunku czynią, to więcej dla „oka ludzkiego”

Śmierci tutejsi ludzie nie obawiają się, twierdząc, iż prędzej czy później przyjść ona musi, jeżeli zaś bronią się od niej, to zwykle dla wyżej podanych względów. Natomiast niecierpliwi są na ból, lekarz przeto zmuszony jest stosować u nich środki kojące i uśmierzające.

Mieszkaniec tutejszy panicznie boi się długotrwałych cierpień, osobliwie „suchot”. W tym razie rzadko poddaje się systematycznemu leczeniu, gdyż nie osiągnąwszy doraźnego skutku, wędruje kolejno do innych lekarzy. Te wędrówki chorych od miasta do miasta, od lekarza do lekarza trwają całymi miesiącami, nieraz latami i kończą się tym, że choroba z biegiem czasu albo sama mija, albo też chory traci nadzieję i zrezygnowany cierpliwie wyczekuje końca.

Dla lekarza mieszkającego wśród ludności wiejskiej te długotrwałe choroby są zmorą jego życia, wtedy, gdy ostre cierpienia jak złamania, skaleczenia i ostre zapalne choroby stanowią wdzięczne pole dla jego działalności.

Należy nadmienić, że wieśniak nasz wierzy w skuteczność lekarstw i bardziej zwraca uwagę na to, jak często i w jaki sposób ma przyjmować lekarstwa, niż na uwagi lekarza odnoszące się do higieny i normalnego trybu życia.

Na umiejętność leczenia, lud tutejszy zapatruje się, jak na łaskę Bożą, która spływa z góry. Leczyć przeto może nie tylko uczony lekarz, ale i felczer, który gdzieś tam w szpitalu przy doktorach praktykował. Zna się również na leczeniu niejedna babina ze wsi, ten i ów owczarz lub pastuch, a nawet żebrak wędrowny. Na chorobach zaś bydła i koni, najlepiej znają się tak zwani „oprawcy", którzy zdejmują skóry z padłych zwierząt.

Z biegiem lat i z postępem oświaty, lud coraz chętniej leczy się u wykwalifikowanych lekarzy, placówka lekarska staje się coraz wdzięczniejszym polem działalności lekarza.

Trafiają się jednak i zawodowi znachorzy. Przed 30-u laty było u nas, w odległych nieraz od Sterdyni okolicach, dwóch znachorów cieszących się uznaniem ludu tutejszego.

Jeden w Hołubli (pow. siedlecki), Tatar, który leczył gałkami z papieru, na których były wypisane po turecku ustępy z Koranu. Pigułki te były „bardzo pomocne" w wielu cierpieniach, a stanowiły nieomylny zapobiegawczy środek przeciwko wściekliźnie. O Tatarze tym mało się już słyszy, bodaj że już umarł.

Drugi, bardzo sławny znachor mieszkał w Gutach (pow. ostrowski), a specjalnością jego było, że z moczu doskonale odgadywał przeszłość i przepowiadał przyszłość.

Mając często do czynienia z chorymi, którzy już poprzednio udawali się do Gutów, zwykle wypytywałem, jak byli przez znachora leczeni i jakie odnosili wrażenia. Jedni byli zdumieni trafnością odgadywania przeszłości (z przyszłością było gorzej), inni natomiast zapatrywali się sceptycznie i orientowali się, że byli oszukiwani.

Rzecz odbywała się w ten sposób.

Znachor, bezrolny, ubogi człeczyna chorowity, miał na wzgórku i poza wsią chałupinę. Gdy z dala postrzegał zbliżającego się interesanta, ukrywał się na strychu, a na spotkanie wysyłał córkę. Ta dokładnie wypytywała, skąd interesant przybywa, kto u niego chory, jak dawno choruje i jakie są objawy choroby. Po skończonym wywiadzie zjawia się mistrz, który wszystko wysłuchał. Bierze do ręki przyniesioną buteleczkę z moczem chorego, pilnie się w buteleczkę wpatruje i jak z nut recytuje: „Przybywacie pewnikiem spod Prostyni, choruje wam matka, która ma już kopę lat. Biedactwo jest uduszliwa i kaszląca, spać i jeść nie może, a od miesiąca nogi jej już puchną. Niedługo już wam pożyje nieboga, może doczeka do gromnic albo i nie. W każdym razie spróbujcie dać jej te proszki (próchno ze starej wierzby), niech je pije z wódką, również z wódką dawajcie jej brudu zeskrobanego z 7-iu progów, powinno jej to ulżyć".

Interesantowi jeżą się włosy na głowie, wróż bowiem wszystko wie, co było, jakby tam był. Niezawodnie widzi i przyszłość. Nie wie sam, co myśleć o tym, czy działa tu siła nieczysta, czy jest to jasnowidzenie, w każdym razie coś niezwykłego.

Wróż z Gutów już zmarł, proceder po nim objęła córka, ale nie posiada już tej sławy, jaką się cieszył jej rodzic.

Ile razy w życiu spotykałem się ze znachorstwem, nigdy nie widziałem jakiejś siły ducha, która by oddziaływała na naiwnych, a zwykle oszustwo.

Dr A. Jarosiński